NUMER 24. DNIA 24. CZERWCA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

RAJMUND SCHOLZ:

Z KSIĘGI BEZIMIENNEJ.

Po ślubnych drzewach złoty pył ulata,
wieść życia tkając na dziewiczem krośnie —
Czas iść i szukać, gdzie jest łono świata
ze snem odwiecznym o weselnej wiośnie.

Sad życia wielki jest i wielkie płody
w obliczu słońca jeszcze niepoczęte
czekają, iżby siłę żądzy młodej
złotym zalążniom wniosły śluby święte.

Niechaj wam dusze na pył złoty zgorzą
i łuną lecą niby zorza wschodnia
nad sad żywota, kędy myślą Bożą
kwiaty tęskniące płoną, jak pochodnia.

A ślubne imię wasze: płomieniści!
a wasz rodowód: z idących wielmoży!
Tak niechaj wielki się sakrament ziści
z człowieczej woli i płodności Bożej.

Wygnał was Jahwe i przed krew żywota
anioły możne poustawiał strażą?
Nie wierzcie! Straże przemogła Golgota,
owoce ku wam z wolnych drzew się jarzą.

Wyście z jednego tylko jedli drzewa
a krzew żywota szydzi z was nietknięty —
O niech wam dusza będzie jako Ewa!
Wąż-głód nie wolen czyhać waszej pięty!

Serce jest twardsze, niż zakon Jehowy,
a przez to sercem, że wolne uwięzi,
a Bóg w tem Bogiem, że po wasze głowy
sam plonem żywej nie nagnie gałęzi.

Nadzyście? Nadzy w słonecznym uśmiechu!
Piękni! nagości swej nie kłamcie niczem!
Jeśli się swego zawstydzicie grzechu,
cóż pozostaje, jak nie wygnać biczem?

John Ryszard Suddon.

Wracając do swej drugiej ojczyzny, w drodze, Dżon Suddon zmarł na statku parowym, który tylko co przybił do portu Sydney w Nowej Galji Południowej, w Australji. Pięć dni podróży morskiej oddzielało jeszcze Suddona od Nowej Zelandji, w której zwano zmarłego „królem Dick'em“ [1]). I w samej rzeczy Suddon należał do tych królów, których znamy tylko z legend, do królów bez korony, kamieniami drogimi wysadzanej, bez dworu, ale za to ze zdolnością twórczą, z talentem skupiania ludzi i rozkazywania ludziom, słowem do owych królów twórców i organizatorów gromad ludzkich.

„Król Dick“ był synem nauczyciela ludowego i urodził się w domu robotniczym w Eccleston, w hrabstwie Lancashire, w ognisku przemysłu tkackiego Anglji. Kiedy Suddon młody ujrzał po raz pierwszy światło dzienne, w 1845 r., w Anglji ówczesny ruch robotniczy, zwany ru-

[1]) „Dick“ jest w Anglji zdrobniałe wyrażenie dla Ryszarda, imię Suddona i imię kilku królów angielskich.

chem Czartystów, zdobywał się na ostatni wysiłek, by potem, po 1848 roku, rozpłynąć się jak duch, który nie może zdobyć dla siebie miejsca na ziemi, zakłóconej walką interesów i namiętności.

Dorastał więc mały Dżon w epoce apatji, w perjodzie szamotania się dzieci Albjonu o bogactwa materjalne, bez troski o stan duchowy i materjalny kraju. Widocznie Dżon miał wstręt do takiego życia, bo w 1863. roku emigrował do Nowej Zelandji.

Nowy ten kraj dziwne przeżył już losy. Tuziemcy — pokolenia Maoris — walecznością swą przez długi czas odstraszali awanturników. Ale w 1825. roku pierwsza większa osada europejska zdobywa sobie prawo obywatelstwa na tych dwóch wyspach, oddzielonych wązką cieśniną Cook'a i razem tworzących Nową Zelandję. Wkrótce przybywają nowi emigranci, zakłada się nawet kompanja kolonizacyjna i rozpoczyna się walka sroga, brutalna z tuziemcami, w której biali i cywilizowani Anglicy grają rolę haniebną, rolę bandytów i grabieżców. Walki te trwały w Nowej Zelandji do 1870. roku.

Jest to niejako prawidłem w dziejach kolonji angielskich, że po każdym perjodzie bezeceństwa, sumienie budzi się w ciemnościach zbrodni popełnianych, a ludzie chcą zmyć grzechy, dokonane tylko co libacjami na ołtarzu swobody. Widzimy to i w Nowej Zelandji, gdzie po latach walki z Maorisami, zapanował duch liberalny i równościowy. Kolonje otrzymały samorząd polityczny, a organizatorem polityki pokojowej był główny minister Ballance, któremu przyszedł z odsieczą Suddon, mający mir wielki wśród ludności robotniczej.

Jak wszędzie w Anglji, tak i w Nowej Zelandji robotnicy zorganizowali się w silne związki fachowe. Czego atoli nie stworzyli w odrębnej partji politycznej. Suddon, który w 1879. roku został obrany posłem do parlamentu nowozelandzkiego, pociągnął za sobą demokrację całą do obozu liberalnego. To też w żadnej kolonji australijskiej polityka demokratyczna nie była tak stałą i tak daleko idącą na polu reform demokratycznych, jak w Nowej Zelandji.

Kiedy Ballance umarł, dowództwo nad zjednoczonymi obozami liberalizmu i pracy objął Suddon, twórca nowej zupełnie polityki na ziemi, synami Albjonu zaludnionej, bo polityki socjalizmu państwowego. Można śmiało powiedzieć, że większość żądań praktycznych, jakie socjaliści świata całego wystawiają, została urzeczywistnioną w Nowej Zelandji. Skrócenie dnia pracy, reforma w warunkach pracy, przymusowy sąd rozjemczy między kapitałem i pracą oraz mnóstwo innych reform ekonomicznych — oto zmiany, jakie wprowadził Suddon, który został też naczelnikiem rządu młodej kolonji. Obok reform ekonomicznych szły reformy polityczne, a między niemi i prawo głosowania powszechnego dla kobiet.

W rzeczywistości redaktorem i rodzicem umysłowym tych reform był pan Reeves, wyśmienity prawnik i dzielny publicysta, dziś członek gabinetu angielskiego. „Król Dick“ był jednak organizatorem całej tej pracy, to jego umiejętność rządzenia ludźmi, to jego głos, znajdujący oddźwięk u kolonistów, nadały życie martwym literom projektów prawnych Reeves'a.

Nie trzeba jednak sądzić, że Dżon Suddon był tylko demagogiem. Tytuł „naczelnika rządu“ nie zadawalniał go; nie było gałęzi administracji krajowej, w którejby Suddon nie pracował z zapałem, gorliwością i z oddaniem się zupełnem.

Tymczasem wybuchła sromotna wojna z Boerami. I oto Suddon, reformator społeczny, demokrata skrajny, występuje w roli „zdobywcy“ i drażni najgorsze instynkty kolonistów z Nowej Zelandji. Jakiś szał krwiożerczy ogarnął Suddona; „król Dick“, dotychczas tak podobny do królów legendarnych, zamienił się w króla nowoczesnego albo w króla ze smutnych czasów średniowiecza.

Jak tę sprzeczność wytłómaczyć? Zdaniem naszem, wybuch tego imperjalizmu nowoczesnego u Suddona, tego imperjalizmu, który ucieka się do środków reakcyjnych w twórczości politycznej, jest zrozumiałym. Widzimy w tym wybuchu raczej zaślepienie, aniżeli złą wolę — kiedy mowa jest o „królu Dick'u“.

W samej rzeczy kolonje australijskie szczególnie były dziełem demokratycznych warstw angielskich, tych warstw ludowych i drobnomieszczańskich, które, pobudzone myślą o wolności i równości, rwały się do pracy konstrukcyjnej. Zachowawcy angielscy przez długi czas patrzyli się krzywem okiem na te demokracje „zamorskie“, które powstawały z żywiołów angielskich. Mężowie stanu konserwatywni w Anglji nieraz narzekali na te „ciężary“ kolonjalne, które dziś są potęgą kraju. Liberali angielscy zrozumieli pierwsi, że kolonje te muszą mieć samorząd, by

rozwinąć się swobodnie i nie zostać narzędziem tępem w rękach zwolenników przemocy i przywileju. To też Gladstone przeprowadził usamodzielnienie większej części kolonji angielskich.

Wyzwolone z zależności kolonje poszły po drodze rozwoju demokratycznego, wyprzedziły nawet w polityce reformatorskiej swą matkę — ojczyznę wspólną dla wszystkich kolonistów, — tę matkę, która czasami zdawała się zapominać o swych posterunkach, rozrzuconych na wielu morzach i oceanach burzliwych. I oto rozżalone brakiem jedności i spólnoty kolonje, nie mając solidarności duchowej w dniu dzisiejszym, w swej melancholji tęsknej zaopatrują się w przeszłość, w metody działania dawno już przez duch postępu potępione. I oto bohaterowie demokracji spółczesnych z tęsknoty samej zapominają o swem pochodzeniu, o swej sile, nie widzą już miecza własnego, którym utorowali drogi nowe i jak parwenjusze zaopatrują się w broń zapyloną i stępioną czasów przeżytych. I oto „król Dick“, twórca demokracji nowo-zelandzkiej, z tęsknoty do solidarności z ojczyzną rodzicielką, zapomina o swej duszy własnej i daje się uwieść tym, których w Anglji samej słaba dłoń demokracji, nie umiejącej jeszcze utrzymać berła rządzenia, musi zwalczać i niszczyć w imię przyszłości.

Był to szał u „Dick'a“ — było to zaślepienie. Po kilku latach — aczkolwiek zapóźno — Dick przejrzał; tylko zawstydzony błędem popełnionym, nie ma odwagi uderzyć się w piersi. Przyjmuje na chwilę politykę celną Chamberlain'a, ale cofa się powoli i marzy tylko o kongresie kolonji z metropolją. Biedny „król Dick“, gdy porzucił broń demokratyczną, stracił i swą koronę, z laurów pracy twórczej splecioną...

„Żegnam was, moi drodzy, odchodzę“ — były ostatnie słowa tego szermierza, który sam się pozbawił miecza swego. Ci, co pozostali, mają teraz obowiązek jeden: wrócić tej głowie koronę „króla Dicka“, którą chwilowo burza zerwała była...

Stanisław Mendelson.

STEFANJA ŁOZIŃSKA.

MARYNINA DOLA.

(Dokończenie).

Nastały różne dni.

Po roztopach — smutnem nieb sklepieniu — sinym dżdżu, odmieniła się natura. Przyszedł ostry mróz, dowarzył resztę liścia, lepkość ziemi zbił w grudę, ponatykał jasnym szronem.

Wreście śnieg poubierał puchami ciemnie, iskrami białości okrył szare a smutne.

Nie na długo.

Inny czas — roztaił szyby, starł cuda malowanych mrozem kwiatów — zapachniał trawami. Hen! przez pola niosła się ochota, szeptami trącała... wabiła. Ciekawemi oczy wglądała w zakątki, na świat, na życie nawołując.

Marynie, skulonej przy okienku, budził się mus pójścia w ony pogłos u pola, w one świeżości, na których wspominek błękitniały źrenice i widziało się przestwory powietrza, moc nowych świateł.

— Wiesna!... — poszepnęła.

Marcin, nie dosłyszawszy z łóżka, zawisł oczyma na wargach kobiety.

— Co takie?...

— Godom, co wiesna idzie...

— Jakze?... zdzierżys?...

— Onakwo[1]) mi... — głowę sparła o ramę okna.

Chłop się zamyślił.

— Kie, djasi nadali! — wyrzekł. — Roboty nie zgonis chorowaniem... Upraz se madry[2]) abo bozego ziela...

— Co ta o to! pozdrowieję... samo przydzie...

Wodziła oczyma po kołysce, aści w niej zakwiliło i chustą szarpnęło.

— Plekoj![3]) — rozkazał Marcin.

Uśmiechnęła się kobieta i wzięła zawiniątko w płótnach na kolana. Wpatrzyła się w drobiazg, aże jej mgła zastąpiła oczy... Spłynęła i nowa przyszła...

Pojrzała na katanę — okapała łzami... Ino od pola zapachy idą na nią, przemocne, ino pękające wierzby skądsi zawoniały. Toż się uśmiechnęła, tak oczami — inaczej zabaczyła — ano w Hance ma żywot cały... ano tu ostawiła sytek strój i uradowanie inne...

Wtedy, osłabionej niezdrowiem, zwidziała się ujna. Po przez mgłę zdało się jej... mara jakaś?... Dy! ujna stoi — palcem kiwa — cosi poziera...

Oddech Marynie wstrzymało...

Pobałamuciło się w głowie, poplątało. A kieby wyjść? — Gwałtem wyjść...

— Gdzie ta?... gdzie?... — mruczy chłop.

— Jee! tak-ta! — odszeptuje z za dźwirzy.

[1]) słabo; — [2]) ziele; — [3]) karm,

Owinęła siebie zdatnie i Hankę i tak niepewnie się posuwając, stanęła u sąsiadowego przełazu.

Zasłyszała szczebiot ptasi, urywany, wdzięczny — zaczerpnęła powietrza wespół z podnoszącą się runią, co zasłała zielenią przygórki.

— Co zaś stoicie?... — Kurcina nadeszła od drogi.

— Adyć stoję... i patrzę; jak to dyszy syćko...

— Wiera — hej!!...

— Cie wy!?... zwidziała mi się ujna... abo to źle?...

— Coby-ta. A kany?...

— Na izbie...

— Cosi kce... odmówcie paciorze... abo ta chleba ocipkę u proga ostawcie... Godnieś-cie sie sterali — dodała, patrząc na Marynę, potem na dziecko.

— Jee!...

— Abo co?...

— Dy wam nie mówić wiela...

— Juści hej... — pokiwała Kurcina głową na odchodnem.

— A Bóg zapłać za poradę! — dorzuciła Maryna.

Niby co ono gadanie pomoże? Ugryz i telko. Ani ona matki ku poradzie, jako inne — na ten przykład mówiący. Ani chłopa... Leży, ta leży — dumała. Śmiertką mu sie nie uzwolić, poratowania też nijakiego. Musi ono zapisane jej było — jako jest.

Poczęło mżyć.

Rozłogami sunął leciuchny pył, a gdzieś od gór doleciał raźny głos i strzępił się na pręciach brzóz, na wychylonych ku rzęsieniu pękach.

Kobieta podeszła w przyzbę, a zapuściwszy mimowolnie wzrok na sąsiednie podwórze, drgnęła przystanąwszy.

Pod okienkiem przeciwległej chałupy stał młody gazda, wpół obejmując żonę. Kobiecie chusta zsunęła się z głowy, podniosła rozchylone wargi, rozmiłowanemi oczy wpijając się w chłopa. Ten-ci patrzył w nią, aże mu te iskry z uśmiechów szły, aże świetliste połyski łączyły nachylone k'sobie usta i te zaciśnięte wokół ramiona. Nic nie mówili, wchłonieni w wilgotny cień zasuniętej strzechy i w siebie. A ten srebrzysty pył lekko rozkołysanego dżdżu nagarniał im onego zapachu ziemi zbudzonej, a tej żywotnej rozkoszy, co tak biła się tętnem z pól.

Rozwarte oczy Maryny chwytały jakisi dziw, ból... czy ją dola naszła nowa?... czyli żałość zecniła?...

Taki nie wie...

Ano poczyna od drzewiej bywałych dum jakiesi dalsze... a to samo pasmo...

O cosi drży... jako te młode pąki u drzew i on pył siny. Cosi pragnie — choć zda się jej to nie obce; jakoby zdawna taiło się a teraz idzie... niby ten ziarna płód, co milcząco pęcznieje, zanim pęd otworzy.

Taki i nie wie...

Jeno o żalu, o utęsknieniu jej przychodzi. I tak się odrywa, od wiośnianego upojenia, od siły, w której trwa, od snów niejasnych a upragnieniem nasyconych.

Otwarło się w niej jakoweś morze zdumienia — bo leci niem w te świetlane ramion oploty stojącej przed nią pary — bo rozwartemi usty chwyta umykające dla niej tęcze.

Ból ma... ale o co?...

Tu się Hance zakwiliło.

Chciwie przylgnęła wargami do czołka dziecka i ruszyła do dom. A od skowronczego śpiewu hajnok! na bieluchnej chmurze — od przejaśniałych ugorów — traw opylonych rosą, szedł głos: „cobyś poniechała strój sytek... a uradowanie inse...“

Szła praca.

Płynęło życie falą na dni — lata. Co roku Maryna z najemnikiem troszczyła się o chlebny kłos, o lnu przygarść, dobytek. Różowe świty widziały ją idącą z podatkiem po szerokiej cesarce, abo nastawały na nią ostatnimi promieniami zorzy, odciągając zbolałe plecy w czasie szarwarku.

Pracowała za siebie i męża. Dzień był tylko powtarzaną pracą, wieczór umęczeniem. Co inne nie znała. Ano chwilami pociągała oczami po Hanulce i to było najjaśniejsze krzepienie. Jeno głęboko patrząc — pytała: co temu dziopięciu? A no dozior ma, jak się patrzy — a jakie to te liczka? Nikiej kalina, co jesienią opuści jagody... A rączyny?... Ano krwie w tem niema, czy co?... Bez mała trzy roki temu — a takie...

I dawała na mszę.

Abo się oczami dziecka strachała. Jak to poziro? Hanuś — a boli cie co?...

Dziewczynka ruszała głową przecząco.

— Dy! ma takom urode — dorzucał Marcin z łóżka — podała sie na mnie...

A w kobiecie cosi się tłukło w piersiach i tak z dygotaniem a natarczywie pytała;

— Hanuś! a śmiejże sie — a śmiejże!!... to ci kupie bombonów... abo miodownika... kces?...

Wtedy dziecko: — kcee... — szukało oczyma po powale, potem po koralach matki i poczynało uśmiechać się smutnawo. Porywała je kobieta i gwałtownie tuląc, znowu pytała: — dy nie zamrzes, hej?... Hanuś! — hej?[4])

. . . .

A dziecko się uśmiechało.

Opierało głowinę na złożonych rękach, ścigając wzrokiem sobie tylko widzialną myśl — zresztą nie było jako inne. Bardzo ciche zawsze i zadumane, co w połączeniu z wyglądem bladym, dziwnie wycieńczonym, dawało wrażenie czegosi nieuchwytnie smutnego.

Jak ta koszulina... zszarzana, ostrzępiona — niby do cię mówiła tak spokojnie, bezbarwnie, o chłodzie, co bił z tego ciała w zżółconym naskórku, o jedynym przyodziewku, o żałośnym trudzie życia — jakby to dziecko znało taką potęgę...

Abo leży w tej skrzynce ledwie oheblowanej kołyski — ani temu twarzy nie widno, zmajaczała w szarych płótnach. Tuż-ci się zabaczył słoneczny promyczek, ano sunie... po konopiastej, zwichrzonej czuprynie... sunie... ale jakieto-ta niepozorne połyski wykrzesał, — co ino, a zgasł... Taki-ta, nie pamiętano nawet o nim. Tylko wiśnia zazdrośnica coś nieco wiedziała, chwytając prątkami światło z przed okien... Raz nawet zobaczyła — ale to już nocą było.

Miesiączek czuwał...

Maryna trzymała na kolanach swoją Hankę; dziopiątko leżało tak prosto, aże te nożęta sterczały kością żywą... I dziwne było to osłupiałe spojrzenie i stężała niemoc w twarzy kobiety. I ten brak ruchu...

Jeno zegar cykał: raz-dwa, raz-dwa... niby pytający: co to?... Za oknem ustał szum — wiśnia stuliła gałęzie... Aliści po chacie — może od drzew w sadku — poczęły snuć się cienie... w tym miesiączku, co to kajś zbiera zimne światło, cienie... wiewnie poszły na izbę, nie uderzyły o sprzęt, jeno ciszę wchłonęły, nasnuły lęku i hen! rozwiały się w snach pól... spłynęły smętkiem...

Czy to były dziwy?...

Dziwy, co nad Maryniną dolą stanęły i majaczały, ostatnią nadzieją? Resztką błysków, po których niema już radości?...

Wiśnia nie wiedziała.

[4]) tak?

Kazimierz Króliński.

W noc świętojańską.

Owiana czarem baśń nocnej topieli
Wyszła, jak złudzeń nieprześnione dziwo,
Z wyżyn gwiazd srebrne wysnuwa przędziwo
I niem ustronie cisz drzemiących bieli...

Błysnęły ognie błędne w leśnej nawie,
W głębi milczące ktoś poruszył dzwony,
Dźwięk ich, jak promień samotny, strwożony,
Ściele się cicho po liściu i trawie.

Patrzaj!... Paproci kwiat... Zerwij ostrożnie
Dziewczęcą dłonią — podaj mi go w darze...
Nim sierp zarania w obłokach gwiazd dożnie,

Nim zorza zwieje mroki, — my się staniem
Mistrzami Mocy, co win grozę maże
I pójdziem światy podbijać — kochaniem!...

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy).

Ciekawam, coby pomogło, gdyby się kto na co skarżył; wolę być dobrze z Kudlikiem, niż z p. prokuratorem, którego tygodnie całe nie zobaczę, a pierwszy jest moją tu jedyną instancją i opieką. Chyba i inni więźniowie mają toż samo zdanie, gdyż drzwi zamykały się prędziutko w każdej celi, nie słyszałam żadnej rozmowy. Prokuratorowi towarzyszył naczelnik i jego dwaj pomocnicy. Naczelnik pozdrowiwszy mię, powiedział mi, że jest list do mnie z zagranicy. Prosiłam, by chciał mi go przysłać. Pierwszy to list ze świata, który mam mieć. Odrzekł, że to niepodobna, gdyż poprzednio list musi być posłany do Sosnowca do rotmistrza żandarmerji i dopiero, jeśli on uzna to za rzecz możebną, to mi go przyśle.

— A czyż pan przeczytać nie może? — zapytałam — lub kto inny?

— Prawo nie pozwala, odrzekł Wierusz, listy pani musi czytać żandarm, który jej sprawę prowadzi.

— Więc mogę listu wcale nie dostać.

— Nie ręczę, odrzekł, zdarza się to jednak, skoro do podsądnego ktoś pisze rzeczy, które nie powinny być mu wiadome; chyba pani tej ostateczności nie przewiduje?

Nic nie odpowiedziałam; czyż ja mogę wiedzieć, kto pisze i co jest w liście?

— Jak tylko list nadejdzie, przyślę go pani, proszę być spokojną, — dodał naczelnik, odchodząc.

Trudno, trzeba się zgodzić z losem, a choć cierpliwość nie jest moją cnotą, uzbroić się w nią.

Słońce świeci jasno, mam południowe okno, to też cieszy mię to ogromnie; jest to naprawdę jasny promień w niedoli; o jakże biedni ci, którzy siedzą w ciemnościach. Podwójnie ciężką im musi być niewola.

Dziś po raz drugi byłam w kaplicy, mniej mię zdenerwowało, gdyż już policjant nie czytał Ewangelji, ksiądz sam przeczytał ją i następnie wygłosił naukę, z której ja jedna chyba korzyść winną byłam wynieść; mówił bowiem, iż Chrystus obiecywał nam Królestwo Niebieskie, to też dążyć do niego winniśmy, nie myśląc o zmianie jakiejbądź w ustroju królestw ziemskich; wątpię, czy całą tę filozofję zrozumiały słuchaczki, mimo, iż były mocno wzruszone i niektóre, starsze zwłaszcza, płakały rzewnie, przejęte głęboką skruchą. Wogóle widocznie ludzie wzruszać się mogą rzeczami, których nie pojmują. Czyby to jednak nie należało, by kapelani więzienni zechcieli nieco opracowywać swe nauki, zastosowane do słuchaczy. Cóż te biedne istoty, zupełnie często nieświadome własnej winy, może interesować kwestja burzenia królestw lub rządów. Wierzę, iż oświata podnieść tylko może człowieka z upadku, jeżeli już musi być więzienie, niechżeby wszyscy ludzie dobrej woli myśleli o tem, by naprawdę przez pobyt w niem więźniowie poprawiać się mogli. Niestety, mam to głębokie przekonanie, iż więzienie nikogo nie poprawia, a wielu popsuje.

Od paru dni jest o wiele cieplej i mam okno przez dzień cały otwarte, słyszę rozmowy uwięzionych kobiet w czasie ich spaceru i coraz bardziej tego przekonania nabieram, jak szkodliwym jest dla nich tu pobyt.

— Ja tam na swój los się nie skarżę — mówiła wczoraj jedna z tych nieszczęśliwych — albo mi tu źle? drugi raz tu jestem, no i co? mam dach spokojny nad głową, mam chleb, pracy się nigdzie nie bałam, a poniewierka tu mniejsza, niż gdzie!

Jakież te słowa są straszne, jaką mękę przechodzić musiała istota, dla której więzienie jest miejscem pożądanem, do którego wraca z chęcią niemal. Cóż pomogą rozprawy, sądy, więzienia, gdy głód i nędza ścigać ją będą w powtórnym na świat powrocie. — Nie, nie więzień, lecz chleba i światła trzeba, by uratować ludzkość od upadku, by dać jej poznać całą ohydę występku.

29. kwietnia. Miesiąc cały siedzę już zamknięta; kiedy się to skończy, nic nie wiem, dziwne uczucia zmieniają się w duszy, już dziś nie mam tego rozdrażnienia nerwowego, jakie miałam w pierwszych dniach pobytu tutaj, tylko jakiś głuchy, tępy ból zjada duszę; na świecie już wiosna, musi być zielono, przez okno korytarza więziennego widzę kasztan, codziennie obserwuję jego pęki, ma już liście młode, wkrótce pokryje się kwieciem, — kiedy ja to ujrzę z blizka? Przez cały ten miesiąc bardzo rzadko kiedy wychodziłam na podwórze i nigdy prawie nie mogłam przebyć całej półgodziny, nieznośnym mi jest widok policjantów i szalona tęsknota przestrzeni ogarniała mię tam bardziej jeszcze, niż tu w celi; dziś zaczynam tęsknić do przyrody, brak mi powietrza, zieleni, drzew i krzewów; mamże być szczerą? — tęsknię do drzew niemal więcej, niż do ludzi.

Od kilku dni mamy cudowny czas, słońce świeci jasno, na dworze jest tak ciepło, iż chodzę na spacer w sukni, ale to więzienne słońce nie raduje mię już tak, jak dawniej na świecie. Zdaje mi się, że widok jego zwiększa mą tęsknotę. Jakam ja marna, jaka słaba, wszak tu wszyscy dawniej siedzą odemnie, jedna tylko świeżo przywieziona kobieta, przybyła po mnie, mieszka na tym samym korytarzu, słyszę nieraz jej głos.

30. kwietnia. Dziś dostałam dwa listy; jak dziwnie wydają się te głosy z za grobu i jak bardzo są drogie, ten tylko to odczuć może, kto był sam więźniem. Wiem, że żyją, że są zdrowi, że nic im nie grozi, czuję z ich słów, że mię kochają, że tęsknią do mnie i takam silna.

Ewa pisze o widzeniu się; moje słodkie kochanie, ileżbym dała za to, by módz cię ujrzeć, ale nie, to być nie może. Widzenie przy straży rozdrażniłoby nas obie a zresztą, nie... wolę list, mimo, że go dziesięciu czytać będzie, są tam słowa, są myśli, które odczuje tylko więzień. O wy szczęśliwi, których życie płynie wolne, dawajcie więźniom, tęskniącym w murach, jałmużnę kilku słów. Stają się one tu dźwignią w życiu.

1-szy maj. Święto ludu roboczego, dzień niepokoju zwykłego w Warszawie; co się tam dziś dzieje, czy krew płynie, czy nowe ofiary zapełniają cytadelę? Przed kilku dniami późno wieczorem o dniu tym mówili więźniowie między sobą. Sądziłam, że ranek powitany będzie chociaż jednym okrzykiem na cześć wolności, ale martwa cisza zapełnia korytarze. Wczoraj wielu z mych towarzyszy wzywanych było do kancelarji, może wyższe władze nakazały surowo ciszę?

Pod oknem gruchają gołębie, jest ich ogromna moc, zlatują się na kobierce podwórza z całego miasta, gdyż dzieci sypią im okruchy chleba i groch, który wypraszają od gospodarza więziennego, skoro tylko ten spichrz otworzy. Gołębie i dzieci są mą jedyną rozrywką w więzieniu, gdy chodzę po podwórzu, patrzę na śliczne ptaki, tak oswojone, iż o dwa kroki podejść do siebie pozwalają, lub rozmawiam z dziatwą; znają mię też dobrze te pisklęta, bo karmelki zacieśniają coraz bardziej przyjaźń między nami; wszystkich dzieci w więzieniu jest 20-oro, lecz moich jest tylko sześcioro, innych nie widuję, są bowiem małe i siedzą z matkami pod numerem, jak tu mówią. Skoro tylko pokażę się na podwórzu, powstaje krzyk wielki: „nasza pani, nasza pani!“ i w jednej chwili jestem dziatwą otoczona, najstarszy Wacek Karpiński rej tu wodzi, on komunikuje mi wszelkie wieści o innych dzieciach, i tak wczoraj pokazał mi kobietę, siedzącą przy ganku kobiecego więzienia z dzieckiem na ręku i powiedział mi, że to jest niańka Irenki, którą paniusia się opiekuje, bo jej matka chora i zaraz umrze w szpitalu; domyśliłam się, że mówi o tej robotnicy z Sosnowca i podeszłam do kobiety z dzieckiem. Młoda i dziwnie to ładna dziewczyna; zapytałam o chorą matkę, odrzekła mi, że już od dwu tygodni dogorywa i z każdym dniem jest słabszą. Ścisnęło mi się serce, za co ją tu zamęczono; bledziutka twarzyczka dziecka wysuwała się z poduszki, duże niebieskie oczy, szeroko otwarte, zdawały mi się pytać: „więc to jest życie? — więc i mnie tu męczycie, za co? — czy za to, że mam duszę nieśmiertelną?“ Biedna mała Irenko, biedna duszyczko, po coś ty świat ten ujrzała? Wilska, opiekunka dziecka, powiedziała mi też, że doktor wątpi, by dziecko wyżyło, mimo, iż nasza paniusia, tak nazywają tu dozorczynię, wszystko robi, by ją uratować.

Zapytałam, czy matka była bardzo wątłą, gdy tu przyszła?

— Gdzietam, — odrzekła — była to silna, tęga i młoda kobieta, ma dopiero 26 lat, ale gdy ją aresztowano, to całe trzy tygodnie wodzono etapem z gminy do gminy, po różnych więzieniach, to się strasznie zmarnowała i o dzieci pozostałe w domu rozpaczała, a jak tu przyszła, to i tydzień nie minął, jak Irenkę urodziła i od tej pory to już się podnieść nie może.

— Przecie tu jest doktor i szpital — rzekłam.

— No tak, — odrzekła — jest i akuszerka patentowana, to niby pomoc jest, ale ludzie umierają strasznie, bo to wszystko jest niby, a w gruncie, ktoby się troszczył o więźnia, umrze, to i kłopot skończony; ot i teraz szesnaście kobiet leży w szpitalu, a wczoraj dziewczyna umarła młoda, 19 lat miała...

Urwała, starszy przechodził opodal. Widząc, iż się boi, odeszłam do dzieci, tam Wacek pokazał mi nową parę dzieci: chłopak pięcioletni prowadził za rękę trzyletniego rachitycznego braciszka.

— To nowi — mówił Wacek — Franek i Szczepan, ich tu wczoraj przywieźli; ich ojciec i matka pojadą na Sybir, na pięć lat, bo pieniądze robili i oni z nimi, tylko teraz nie można, bo wojna tam jest i matka ich chora leży w szpitalu, może i umrze, — dodał kiwając głową — bardzo słaba, już i dziecka karmić nie może i Zośkę ich, wie pani, siostrę, poi mlekiem tem inna kobieta, tak, jak Irenkę.

I to jest życie? — mówiłam w duchu — i to są ludzie?... co z tego będzie, czy my kiedy pozbędziemy się więzień, gdy dzieci tu na świat przychodzą, tu rosną, tu myślą i tu zapoznają się przedewszystkiem z całą ohydą tego świata.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Ludwik Eminowicz: Poemat. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1906. Poemat niniejszy p. Eminowicza składa się z dwóch części, ale ani pierwsza ani druga nie przynosi w sobie nic takiego, coby naprawdę zainteresowało. P. Eminowicz nie wykazał w tym poemacie nawet dobrego opanowania formy, którą przecież dzisiejsi nasi poeci władają tak pięknie. Treścią czy ideą poematu — muszę być szczerym — jest... chaos, w którym wiją się boleśnie i rymy dociągane i rytm niemuzyczny. A przecież ten sam p. Eminowicz ogłosił swego czasu w „Krytyce“ kilka bardzo interesujących i pięknych wierszy, o głębszym podkładzie. Wogóle, szkoda, że autor „ocenił przychylnie swój poemat“ — jak sam pisze — i puścił go w świat. W rozwoju duchowym autora poemat ten — mojem zdaniem — nic nie znaczy, jako utwór literacki... jest bladą lepianką tego wszystkiego, z czego nasi kunsztarze-literaci lepią swoją sławę. *Fel. Gw.*

Poradnik językowy. Bardzo obfity materjał z dziedziny językoznawstwa przynosi ostatni numer tego pisma, nie tak rozpowszechnionego, jakby się należało spodziewać. Wobec bowiem zgubnego wpływu języków „państwowych“ pod rządami zaborczymi na mowę naszą rodzimą, niezbędną jest straż, któraby czuwała pilnie i mowy tej jako najdroższego skarbu od zepsucia strzegła. Zadanie takie spełnia właśnie „Poradnik językowy“, już to rozstrzyganiem wątpliwych kwestji, już to wytykając zboczenia prasie, zwłaszcza z zaboru rosyjskiego, która coraz więcej zanieczyszczoną bywa rusycyzmami. A prasa ta grzeszy nie tylko pod względem ortografji, lecz głównie w gramatyce, wypaczając ducha języka i gwałcąc jego indywidualny dźwięk.

K. Króliński.

NOTATKI.

Wystawa dzieł Cyprjana Norwida. Zapomniany i długo zapoznany artysta-malarz, poeta i rzeźbiarz Cyprjan Norwid, w ostatnich dopiero latach stał się przedmiotem żywszego zajęcia ogółu, głównie dzięki zwróceniu nań uwagi w „Chimerze“, której tom, wyłącznie jego pamięci poświęcony, pozwolił poznać nieco dokładniej tę postać niepospolitą. Przygotowane wydanie pism Norwida przyczyni się do utrwalenia i rozpowszechnienia pierwszorzędnej wartości utworów literackich. — Największy czas, aby również artysta-plastyk przedstawił się we właściwem świetle. W tym celu grupa polskich artystów „Norwid“ urządza wystawę obrazów, rysunków, akwarel, rycin i rzeźb Cyprjana Norwida, której Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie zapewniło pomieszczenie w swym gmachu w sierpniu i wrześniu b. r. Dzieła Norwida rozprószone są, rzec można, po całym świecie, bo przebywał on na obu półkulach i tworzył bardzo wiele w swej tułaczce poza granicami Ojczyzny; kryją się one przeważnie w rękach osób prywatnych, w miejscach odległych od większych środowisk ruchu artystycznego w Polsce. Pożądanem jest, te zwłaszcza utwory mało dostępne i nieznane światu lub zapomniane, wydobyć z ukrycia na czas wystawy. Uprasza się przeto wszystkie osoby, posiadające jakiekolwiek szczątki spuścizny artystycznej po Cyprjanie Norwidzie, albo wiedzące o ich istnieniu, o szczegółowe informacje i o ile możności nadesłanie dzieł lub ich reprodukcji fotograficznych pod adresem i na koszt Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie — (Plac Szczepański) do 1. sierpnia b. r.

Ze zbiorów prywatnych. W zaciszu spoczywają jeszcze zbiory prywatne, które umiejętnie gromadzone, posiadają ogólne znaczenie.

Podając różne takie zbiory do publicznej wiadomości, omówię dziś wspaniały zbiór p. Majewskiego, c. k. nadradcy skarbu w Stanisławowie.

Lata gromadzone, z wielkim nakładem mozołów i kosztów, mówią samemi cyframi za siebie.

I tak w zbiorze medalów — przeszło 150; najważniejsze: Medal Zygmunta I. z powodu 60 let. urodzin z r. 1527; na ślub Jana Sobieskiego i Marysieńki bity; z bitych na polecenie Stanisława Augusta wizerunków królów polskich jest 21; jako dowód przemysłu polskiego odlewany medal w Nadwórnie na cześć Kazimierza Wielkiego.

Jest obligacja tymczasowa Pożyczki Ogólnej Narodowej z d. 10. października i 15. grudnia 1863 ustanowiona na 40 złp.; awizacja R. N. zawierająca wymiar podatku i kwit na zapłacenie podatku 200 złp. przez obywatela Kasznicę i paszport z $^{18}/_{7}$ 1863 dla tegoż do wyjazdu za granicę.

Jest oryginalny weksel Kossakowskiej z r. 1788; są znaki na odbytą pańszczyznę kołową i pieszą; są z czasów Lutra satyryczne wizerunki, znalezione w jednym dworze koło Stanisławowa, z ołowiu, przedstawiające z jednej strony papieża i djabła z napisem „stulti aliquando sapientes“, z drugiej strony głowa uczonego i głupiego z napisem: „Ecclesia perversa tenet faciem diaboli“.

Zbiór monet polskich, wykopywanych głównie od Lisowiec po Zadarów nad Dniestrem, liczy przeszło 1500 sztuk, różnych: moneta Ludwika Andegaweńskiego z herbem „lilje“, znaleziona w powiecie samborskim.

Również w Zadarowie głównie znalezione zostały i monety rzymskie, których p. Majewski ma przeszło 100 sztuk. Wreszcie wspomnieć należy i o monetach zagranicznych, jak rzeczypospolitej Ratysborskiej, Norymbergji z widokiem miasta itd., które starannie zachowane stanowią ciekawe okazy. *K. Notz.*

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.